# BIBLIOTEKA NOWEGO DZWONKA.

## Rok 1901.



Nakładem Wydawnictwa »Nowego Dzwonka«.

W KRAKOWIE,
CZCIONKAMI DRUKARNI ZWIĄZKOWEJ
pod zarządem A. Szyjewskiego.
1901.

# SPIS RZECZY.

# BIBLIOTEKA

## „Nowego Dzwonka“

wychodzi raz w miesiącu, około dnia 1-go.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny:
Ks. Marceli Dziurzyński.

Rocznik I. Luty 1901 r. Zeszyt I.

Biblioteka „Nowego Dzwonka“ kosztuje w rocznej prenumeracie: 1 koronę (50 ct.) – Do Niemiec na rok 1 markę.

Przedpłatę przyjmuje Redakcya „Nowego Dzwonka“ w Krakowie, ul. Basztowa L. 4.

Każdy prenumerator „Nowego Dzwonka“ otrzymuje „Bibliotekę“ całkiem za **darmo,** jako dodatek miesięczny do „Nowego Dzwonka«·

KRAKÓW.
Nakładem Redakcyi „Nowego Dzwonka“.

Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie,
pod zarządem A. Szyjewskiego.

# Co robić w niedziele i święta?

Na to Pan Bóg dał niedzielę,
By po tygodniowym trudzie,
Ranek spędziwszy w kościele,
Wypoczęli sobie ludzie.

Takto czy podobnie wyśpiewują sobie ludziska, a choć przy tej piosneczce nieraz grzechu nie braknie, przytaczamy ją jednak, bo dużo w niej prawdy. W y p o c z y n e k i c h w a ł a B o ż a, to cel niedzieli. Już to w Piśmie świętem opis stworzenia świata w dniach sześciu niejako zamieszczony dla przykładu, że i ludzie sześć dni pracować mają, a w siódmy odpocząć i chwale Boskiej poświęcić.

Ale nie od razu święcono niedzielę. I Pan Jezus jeszcze z żydami sobotę obchodził. Za Jego dopiero wolą, po Jego chwalebnem Wniebowstąpieniu, Apostołowie przenieśli święto z soboty na niedzielę, dla trzech pamiątek w niedzielę dokonanych zdarzeń: W niedzielę Pan Bóg świat stwarzać rozpoczął, w niedzielę Chrystus zmartwychwstał i w niedzielę Duch święty na Apostołów wstąpił. Więc już przepadło święcenie soboty

u chrześcijan; a natomiast niedziela została świętem.

I jakże to święcić niedzielę?... oto pierwsze pytanie, na które znana odpowiedź! wypocząć od wszelkiej pracy. To, co można innego dnia zrobić, tego się w niedzielę robić nie godzi. Więc gospodarz ani orać, ani siać, ani sprzątać nie może; więc rzemieślnik w niedzielę dokończać swej roboty nie powinien.

A jednakże, jak dziś wiele przestępstw tego przykazania!... Iść tylko rano ulicą miasta, a nasłuchać się można, jak szewcy kończą robić buty kowale kują, krawcy szyją, jakby dobijając za to przeklęte poniedziałkowanie, którego się oduczyć nie mogą; napatrzeć się można, jak gospodarze jadą do młyna po mąkę, odstawiają produkt, a jednak wszystko to grzech i wielki grzech; a jednak za dzień swój Bóg się sam kiedyś upomni.

Już to rzadko kiedy ci, co gwałcą święto robotą, na tej robocie zyskują, najczęściej tacy w biedzie żyją i nędzy doznają.

Sześć dni tylko pracować, a nie będzie potrzeby pogwałcać siódmego, choćby i w tygodniu jeszcze jakie święto wypadło. Są jednak roboty i prace dozwolone w niedzielę i święta, i tak: jeść zgotować, bydło oprzątnąć, porządek w domu zrobić i wogóle to wszystko, czego nie można innego dnia dokonać. Więc chleb piec już jest grzechem, bo można go upiec w dzień powszedni, a wyjątkiem są tu piekarze, którzy z rzemiosła swego codziennie dla ogółu świeży chleb i bułki dostarczać muszą.

Często sami zanadto w tym względzie przesadzacie. I tak, matka niekiedy ubierając swe dziecię do kościoła, dostrzeże urwany guzik lub rozprutą szatę, i za grzech sobie poczytuje przyszywając to, lub przez chwilę naprawiając, gdy tymczasem żadnym to nie jest grzechem, jeśli tylko tej potrzeby wprzódy nie widziała i nie wiedziała o niej. Małe utłuczenie soli, jeśli jej wypadkowo zabrakło, tak samo się uważa; gdy tymczasem rąbać drzewo przeciwnie, gdyż bardzo swobodnie w przeddzień urąbanem być mogło dubeltowo.

O! jakże pod względem święcenia niedzieli żydzi zawstydzają bardzo wielu chrześcijan, bo u nich nawet jeść gotować, nawet ogień rozniecić w szabas nie wolno, i tego zakazu trzymają się ściśle. Żaden handel, kupno lub sprzedaż, żadna podróż nie ma miejsca pomiędzy żydami w święto, więcej nawet nad tysiąc kroków iść w dzień sobotni im zabroniono.

Za Mojżesza z rozkazu Boskiego, dla przykładu całego ludu, jeden z żydów, który w szabas zbierał drewka, był wrzucony do więzienia, a potem wywiedli go za obóz i zabili kamieniami. W dawnych wiekach chrześcijaństwa różne prawa i przykazy zalecały także surowo ścisłość w tym względzie.

Cesarz Karol Wielki postanowił pieniężną karę na tych, którzyby w niedzielę i święto odbywali sądy, jeździli i udawali się na targi, dopuszczali się hucznych, hałaśliwych i gorszących zabaw. Jakżeby wiele dziś ludzi tę karę płacić musiało! Niechno posłyszysz o jakim kiermaszu

w miasteczku, już się tam nie obejdzie bez ciebie, zapomnisz o niedzieli, zapomnisz o kościele, o modlitwie, by tylko sprzedać garnuszek masła, lub parę jajek, a potem zarobek zmarnować, aby tylko zobaczyć się z kim na tym targu, przekonać się jak w targu stoi zboże, trzoda, bydło, choć ci nieraz z tego nic nie przyjdzie. A bębny, katarynki, grajki, hałasy i krzyki w niedzielę, to już na kiermaszach powszechne.

Święty Teodor Kantuaryeński w swej księdze pokutnej zabrania w niedzielę wyjeżdżać, ani wozem, ani konno, ani płynąć statkiem; jakżeby dziś podobny zakaz, a do tego surowy, wszędzie się przydał! Wynająć się i jechać w niedzielę na furmankę, rozpoczynać podróż dla oszczędności czasu, jak to dziś częste, jak przytem niegodne chrześcijan!

Rudolf Bituryceński nawet domowych niewieścich robót zabrania, wydając następne rozporządzenie: «niewiasty nie powinny ani tkać, ani robić pończoch, ani szyć, ani prać, ani prasować, ani prząść, ani wełny czesać, ani owce strzydz, iżby odpoczynek niedzielny naruszony nie był». Prawda, że u nas niewiasty po części i stosują się do tych przestróg, a nawet pod tym względem, jak się powyżej rzekło, za zbytnią nieraz posuwają oględność, ależ i niebrakuje nadużyć i lekceważenia!

I kary Bóg nie szczędzi na tych, co czy to podróżami i handlami, czy krzykami i rozpustą, czy jakiem służebnem zatrudnieniem gwałcą dzień niedzielny. Niechaj prócz śmierci wspomnionego

żyda w Starym Zakonie, za przykład posłuży wypadek z czasów chrześcijańskich, zaszły za życia św. Nikona, Biskupa Peloponeskiego. Namiestnik Peloponezu Grzegorz, grzeszną rozpustą i hałaśnemi zabawy przerywał nabożeństwo niedzielne. Św. Biskup wyszedł do niego z kościoła i zgromił go za jego lekkomyślność, a gdy zamiast rozwagi, wzbudził tylko oburzenie, nagle ujrzał go z dopuszczenia Bożego straszną chorobą dotkniętym. Gwałtowne i najdotkliwsze boleści nagle ogarnęły wszystkie członki pogwałciciela święta. Nigdzie on nie znajduje ratunku, aż udaje się do św. Nikona i ten modlitwą swoją cudownie leczy go od tej zasłużonej kary. O! nieraz podobnej kary ludzie doświadczają za pogwałcanie dnia niedzielnego.

Cóż więc robić w niedzielę, spytacie, i jak ją przepędzić? Otóż posłuchajcie. Dzień niedzielny zacznijcie jak inne dnie powszednie. Ta sama chwila opuszczenia pościeli, ta sama pierwsza intencya, ten sam sposób ubierania się, z tą różnicą, że przystrój powinien być staranniejszy i czysty, o co już pierwsi troszczyli się chrześcijanie, jak o tem świadczy wielu pisarzów świętych, między innymi Klemens Aleksandryjski. O świątobliwym mężu i bohaterze wiary w Anglii, Tomaszu Morus, opowiadają, że nawet zostając w więzieniu za wiarę katolicką, w każdą niedzielę staranniej się ubierał. Nie uważał, że go tam nikt nie widzi, a zapytany o powód tej troskliwości, odpowiadał: «oddawna przywykłem w dni niedzielne i świąteczne staranniej i piękniej

ubierać się nie dla własnej próżności, lub dla przypodobania się ludziom, lecz jedynie i wyłącznie, aby okazać przez to winną cześć Bogu mojemu».

Św. Jan Złotousty w swoim czasie przepisuje nawet chrześcijanom, aby w porządnej, jeżeli można w białej odzieży, z obmytemi rękami szli do kościoła.... Po ubraniu ten sam ma nastąpić codzienny poranny pacierz, z uwagą, że jeżeli z nawału pracy w dzień powszedni mógł być nieco skróconym, to nigdy w niedzielę. Potem posiłek i nabożeństwo.

Ileż to dziś wymówek od regularnego uczęszczania do kościoła. To droga daleka, to lekka słabość, to towarzyskie stosunki, to gość w domu, to niepiękne powietrze, to słota, to błoto, to zawieje, słowem tysiące przeszkód do tego, co zawsze przez naszych przodków sumiennie spełnianem było. A jednak drugie przykazanie kościelne wyraźnie nakazuje, aby w dni święte Mszy św. i kazania lub nauki słuchać, a nawet były prawa surowo ścisłość w tym względzie zalecające.

I tak: w roku 305 postanowiono, aby wierny, który trzy razy z rzędu opuści nabożeństwo, za karę miał wzbroniony wstęp do kościoła tak długo, jak długo poprzednio tego obowiązku zaniedbywał. W Węgrzech roku 1016 prawem świeckiem nakazano głowy golić tym, którzy opuszczają lekkomyślnie Mszę św. i kazanie, by mogli być od wszystkich poznani. O! jakżeby podobnie surowe prawa przydały się i dziś na tak wielu lekkomyślnych, którzy dla błachych przyczyn, dla prostego niedbalstwa, zaniedbują tej świętej, tej po-

żytecznej powinności. Spieszcie więc w niedzielę do kościoła, w domu niech pozostaje tylko ten, kto koniecznie pozostać musi, niech zostanie chory, obsługujący chorego; niech zostanie matka, która drobnej dziatwy nie ma przy kim pozostawić; niech zostanie jedno tylko dla dozoru dobytku i chatki swojej.

W kościele zachować się trzeba, jak na dzieci Boże i w Domu Bożym przystało. Św. Arseniusz, gdy był na nabożeństwie, pragnął, by nikomu obecnością swoją nie robił żadnego roztargnienia, więc też nie szukał miejsca pierwszego, widocznego, ale siadał gdzieś na uboczu, za filarem, aby nikt nie mógł widzieć jego twarzy, i on nikogo. Zachowajcie się w kościele jak owa św. Nonna, o której własny jej syn św. Grzegorz Nazyanzeński opowiada, że taką była przejęta czcią i uszanowaniem dla Domu Bożego, iż ani wchodząc, ani wychodząc, nie odwróciła się plecami do Ołtarza, nawet na posadzkę splunąć nie śmiała, jak owi pustelnicy egipscy w Tebaidzie, co starali się wstrzymywać od kaszlu i chrząkania, od głośnych nawet westchnień, by innym w modlitwie nie przeszkadzać.

Zachować się należy w kościele, unikając wszelkich rozmów, tem więcej powitań i uśmiechów, stosując się do upomnienia św. Jana Jałmużnika, który tak mówi: «jeżeliście tu przybyli modlić się, nie powinniście swojego ducha i języka swego do czego innego używać. Jeżeliście zaś tu przyszli rozmawiać o rzeczach niepożytecznych, posłuchajcie, co Zbawiciel nasz powiedział

w Ewangelii: *dom mój jest dom modlitwy, strzeżcie, się abyście go nie uczynili jaskinią łotrów«.*

W kościele trzeba się zachowywać pobożnie, modląc się przez całą Mszę św., na klęczkach, przynajmniej od podniesienia aż do komunii, stojąc w czasie obydwóch Ewangelii i jeżeli nie rzeczywiście, to przynajmniej duchowo, komunikując wraz z kapłanem

Trzeba też uważnie słuchać nauki lub kazania, a potem w domu z dziećmi i z czeladką swoją treść jej powtórzyć, utwierdzając sobie w pamięci i zachęcając się wzajemnie do jej wypełniania. Nie leńcie się i śpiewać wspólnie Różaniec, i wczas przybyć do kościoła i na całem być nabożeństwie, i nieszporów nawet nie opuścić, bo dzień święty, choćby cały, na chwałę Boską poświęcić należy, tembardziej, że i tak aż nadto pozostanie czasu do wypoczynku i niewinnej śród rodziny rozrywki.

Po nabożeństwie spieszyć prosto do domu, gdzie posiliwszy się, spędzać resztę dnia świętego. Czytanie pożytecznych książek, rozmowa, rozrywka i towarzystwo uczciwe, śpiewanie pobożnych pieśni, niech dopełnią waszych niedzielnych zatrudnień, a znów dzień ten cały zakończcie modlitwami, rachunkiem sumienia i pacierzem codziennym.

Gdyby tak wszyscy katolicy dzień niedzielny spędzali, o! ileżby mniej było grzechu i obrazy Boskiej na świecie!

# Miłość macierzyńska.

(Z podań ludowych).

Siedziała matka przy kolebce dziecięcia.

Siedziała smutna, o! bardzo smutna, serce jej drży z trwogi o życie jedynaka.

Dziecina taka blada, oczki miała zawarte, oddychała cicho, ale czasem tak z głębi piersi, że oddech do westchnienia był podobniejszy. Strapiona matka jeszcze smutniej spoglądała na swoje biedniątko.

W tem do drzwi zakołatano. Weszła jakaś uboga, stara kobieta, w gruby koc koński zawinięta. Na dworze bowiem srożyła się straszna zima; wszystko ścięła lodem i śniegiem, a wiatr przejmujący dął, jakby nożem twarz krajał.

Stara drżała od zimna. Dziecię na chwilę usnęło. Więc powstała matka i przystawiła do ognia garnuszek z mlekiem, aby przybyła miała się czem ogrzać i posilić. Stara usiadła i dziecię kołysała. Usiadła i matka tuż przy niej, wpatrywała się w chorą dziecinę, za rączki ją ująwszy.

— Nieprawdaż? i wy myślicie, że go nie stracę, — rzekła matka. — Bóg dobry nie zabierze mi mojego dziecięcia.

Stara pokiwała głową, ale tak jakoś dziwnie, że trudno było właściwej domyśleć się odpowiedzi. Matka spuściła oczy, łzy potoczyły się po twarzy. Głowa jej bardzo ciężyła; biedna matka już trzy noce i dni oka nie zmrużyła. Zdrzemała

się ze znużenia, ale tylko na minutkę. Wnet się ocknęła i od zimna zadrżała.

— Co to jest? — zawołała, rzucając okiem na wszystkie strony. Starej nie było i dziecięcia nie było; widocznie stara zabrała je ze sobą, a tam w kącie u starego zegara, który skrzypiał bezustannie, ciężka waga ołowiana spadła właśnie z łoskotem na podłogę i zegar stanął. Przerażona matka wybiegła z chaty i wołała za dzieckiem swojem.

Na dworze wśród śniegu siedziała niewiasta w długiej czarnej szacie. Usłyszała ona to rozpaczliwe wołanie i rzekła do matki:

— Śmierć była w twej chacie; widziałam ją spiesznie uchodzącą z dzieckiem twojem. Pędzi ona prędzej niż wiatr, a nigdy nie zwraca, co zabrała!

— Powiedz mi tylko, w którą udała się stronę? — zawołała matka. — Wskaż tylko drogę, a już i śmierć dogonię.

— Drogę znam — odrzekła czarna niewiasta — ale nim ci ją wskażę, zaśpiewasz mi wszystkie pieśni, które śpiewałaś dziecku swojemu. Lubię te pieśni i słyszałam je nieraz. Jestem *Noc*. Widziałam łzy, które śpiewając wylewałaś.

— Zaśpiewam ci wszystkie, co do jednej — rzekła matka; — ale zlituj się, nie zatrzymuj mnie, muszę Śmierć dogonić i odebrać dziecię moje.

*Noc* milczała. Więc załamała ręce matka nieszczęśliwa i wśród rzewnego płaczu śpiewać zaczęła. Było tam wiele tych pieśni serdecznych,

ale łez jeszcze więcej. Nasłuchawszy się do woli, rzekła *Noc*:

— Idź w prawo, w ciemny bór sosnowy; tam pogoniła śmierć z dzieckiem twojem.

Pogoniła więc matka.

W głębi boru rozstajna droga. Znów więc nie wiedzieć, w którą puścić się stronę. Tuż przy rozdrożu stał krzak tarniny bez liści i kwiatu, za to uginał się pod ciężarem śniegu i sople wisiały z gałęzi, zwyczajnie, jak to bywa w zimie.

— Czy nie widziałaś Śmierci, unoszącej dziecię małe? — spytała matka tarniny.

— Widziałam — odpowie zapytana — ale drogi nie wskażę, dopóki mnie nie ogrzejesz u piersi swojej. Patrz, ginę tu z zimna; w lód się zamieniam!

Chwyciła więc krzak biedna matka i co sił do łona przyciskała. Ciernie wbijało się w ciało i krew wielkiemi spływała kroplami. Ale tarnina niebawem liść świeży puściła i zakwitła wśród mroźnej nocy zimowej. Tyle to i takie ciepło u łona matki strapionej.

Tarnina wskazała drogę. Spieszy więc i spieszy biedna matka i niebawem nad wielkiem staje jeziorem. Nigdzie nie widać ni statku, ni łodzi. Jezioro nie było całkiem zamarzłe, aby je przebyć po lodzie, a w bród nie podobna puszczać się na tak wielki i głęboki wód przestwór. — A przecież trzeba było dostać się na brzeg drugi, aby Śmierć dogonić. Rzuciła się więc matka na brzeg; zdawało się, że zdoła wypić wody jeziora. Ale to praca próżna, praca nad siły człowieka.

Nie zważała na to matka stroskana, myślała sobie, że może cud jaki się stanie.

— Ależ temu nie podołasz! — zawołało jezioro. — Raczej ugodź się ze mną. Lubię zbierać perły, a oczy twoje, to para pereł najczystszych, jakie mi kiedykolwiek widzieć się zdarzyło. Wypłacz je w wody moje, a przeprawię cię do wielkiej cieplarni, w której śmierć hoduje kwiaty i drzewa. Każde z nich, to życie ludzkie.

— O, czegobym nie oddała, byle się dostać do dziecka mojego! — rzecze matka zapłakana i jeszcze rzewniejszemi się zalała łzami. A wśród płaczu tego oczy jej wypłynęły i jako drogie perły wpadły na dno jeziora. Wnet wzdęły się wody, fala pochwyciła matkę i jakby na huśtawce w ruch wprawionej, na przeciwny brzeg przeniosła. Tam stał gmach dziwny, na wiele mil długi. Trudno było wiedzieć, czy to była góra z jaskiniami, lasami pokryta, czy też budynek umyślnie wystawiony. Biedna matka nie mogła go widzieć, bo już na świat patrzeć nie mogła.

— Gdzież tu Śmierć znajdę, co mi dziecię zabrała?

— Jeszcze nie powróciła — odrzekła siwa niewiasta, która przechadzając się, miała dozór wielkiej cieplarni Śmierci. — Ale jakżeś się tu dostała i za czyją pomocą?

— Bóg dopomógł mi — rzekła matka. — Wszak on litościwy, a i wy ulitujecie się nademną. Gdzież znajdę dziecię moje?

— Nie znam go — rzekła staruszka — a ty widzieć nie możesz! Wiele kwiatów i drzew uwię-

dło tej nocy; Śmierć niebawem przybędzie, aby je przerzedzać. Wiesz przecież, że każdy człowiek ma drzewo lub kwiat życia swojego. Podobne one do innych roślin, tylko biją w nich serca. Serca dziecięce także biją. Uważaj na to; może poznasz bicie serca twojego dziecięcia. Ale co mi dasz, abym ci powiedziała, co jeszcze masz uczynić?

— Nie mam już nic do rozdania — rzekła strapiona matka. — Chyba pójdę za tobą choćby na koniec świata.

— Nie mam tam nic do załatwienia — rzekła dozorczyni. — Ale możesz mi dać swe długie czarne włosy, a wiesz przecież, jakie piękne; bardzo mi się podobają. Dam ci w zamian swoje białe; i one także coś warte.

— Czy już niczego więcej nie żądasz? — zapytała matka. — Włosy moje dam ci z ochotą! — I oddała włosy swe krucze, a wzięła jak śnieg białe włosy staruszki.

Poczem poszły obie do wielkiej cieplarni Śmierci, gdzie pomieszane dziwnie rosły kwiaty i drzewa. Tu pod przykrywami szklannemi stały hyacenty i wielkie na kształt drzew róże; tam rosły rośliny wodne, jedne całkiem świeże, drugie na wpół zwiędłe, węże wodne wiły się po nich, a czarne raki łodygi się czepiały. Owdzie wznosiły się wspaniale palmy, dęby, platany a w pobliżu były jarzyny i tymiany kwitnące.

Wszystkie drzewa i kwiaty miały swe nazwisko; każde było życiem ludzkiem; ludzie ci żyli jeszcze, ten w Chinach, tamten w Grenlandyi, inni gdzieindziej, rozprószeni po całej kuli

ziemskiej, były tam wielkie drzewa w małych wazonach; widocznie zbyt ciasno im było w tych więzieniach; toż zdawało się, że je wnet rozsadzą; a były też niektóre małe, nikłe kwiatki w pulchnej ziemi, około mchem obłożone, snać je troskliwie chodowano i pielęgnowano. Stroskana matka nachylała się nad wszystkiemi najmniejszemi kwiatkami; w każdem bicie serca słyszała, i wśród milionów kwiatów poznała serce swego dziecięcia.

— Mam je, mam dziecię moje drogie! — zawołała, wyciągając rękę nad małym kwiateczkiem schorzałym i pochylonym.

— Nie dotykaj się kwiatka! — rzekła dozorczyni. — Ale stań tu na boku, a gdy Śmierć przybędzie — co chwila jej się spodziewam — nie daj go wyrwać, lecz zagróź, że wszystkie jej powyrywasz. Zlęknie się tego, bo odpowiada za to przed Panem Bogiem, bez którego woli żadnej rośliny wyrywać nie można.

Wtem naraz zaszumiał po cieplarni wiatr jak lód zimny; matka, wzroku pozbawiona uczuła przybycie Śmierci.

— Jakim cudem znalazłaś drogę do tego przybytku i jak mogłaś prędzej odemnie tu zdążyć? — rzecze Śmierć.

— Jestem matka! — odpowiedziała zapytana.

Śmierć wyciągnęła długą swą rękę za małym kwiatkiem; ale matka przykryła go rękami i zasłoniła przezornie, aby żadnego nie dotknąć listeczka. Wtem Śmierć zionęła swym oddechem na jej ręce, biedna matka uczuła zimno dotkliw-

sze od najchłodniejszego wiatru; ręce jej omdlały i opadły.

— Mnie nie podołasz! — rzecze Śmierć.

— Ale Pan Bóg miłosierny uczynić to może! — odparła matka.

— Pełnię tylko jego wolę — powie Śmierć. — Jestem jego ogrodniczką. Kwiaty i drzewa, które on sadzi, zabieram i przesadzam do wielkiego ogrodu rajskiego, w krainę wcale nieznaną. Co się tam z nimi dzieje i jak tam wygląda, tego mi nie wolno tobie powiedzieć.

— Oddaj mi dziecię! — rzewnie płacząc, błagała matka. A chwyciwszy za dwa piękne kwiatki, zawołała: — Wyrwę ci wszystkie twoje kwiaty! Czy znasz rozpacz matki?

— Nie ruszaj ich! — rzekła Smierć. — Narzekarz na swe nieszczęście, a właśnie w tej chwili chciałaś uczynić równie nieszczęśliwą drugą matkę!

— Drugą matkę! — powtórzyła nieszczęśliwa i oba kwiaty z rąk puściła.

— Masz oczy twoje! — rzekła Śmierć. — Wydobyłam je z jeziora; świeciły tam jasno, jak drogie kamienie; nie wiedziałam, że to twoje. Weź je, teraz jeszcze jaśniejsze niż przedtem.... Popatrz tuż obok w studnię. Powiem ci nazwiska obudwu kwiatków, które wyrwać zamierzałaś, obaczysz, coś chiała zniszczyć i zgubić.

Matka spojrzała w studnię. Rozkosz było widzieć, jak jeden z kwiatków stał się błogosławieństwem dla świata; ile radości i szczęścia roztaczał wokoło. Widziała i życie kwiatka drugiego: było to pasmo trosk, biedy, niedoli i nędzy.

— Taka jest wola Boża! — rzekła Śmierć.

— Któryż z tych kwiatów jest kwiatem nieszczęścia? który błogosławieństwa? — zapytała matka.

— Tego nie powiem — rzekła Śmierć — ale dowiedz się, że jeden z nich jest twego dziecka kwiatem. Widziałaś dolę, przyszłość własnego dziecka!

Głośny krzyk przestrachu wyrwał się z piersi matki.

— Któryż jest kwiatkiem mego dziecięcia? Powiedz mi! Uwolnij niewinne dziecię! Wybaw je od wszelkiej nędzy! Zabierz je raczej! Zanieś do królestwa Bożego! Zapomnij łez moich, zapomnij próśb i wszystkiego, com uczyniła!

— Nie rozumiem cię! — rzekła Śmierć. — Czy chcesz, abym ci oddała dziecię, czy mam je zanieść w krainę ci nieznaną?

Matka załamała ręce i padłszy na kolana, gorąco się modliła:

— Nie słuchaj mnie Panie, gdy prośba ma sprzeciwia się Twej woli, która zawsze jest lepsza! Nie słuchaj mnie: Nie przychylaj się do prośby mojej!

Głowa spadła jej na piersi, a Smierć odeszła z dzieckiem w krainę nieznaną.

---

## KULIG.

Z pism K. Wójcickiego.

---

Na obszernej dolinie, mało gdzie zagajonej, ponad strumieniem studziennej wody, rozciągała

się wieś Lustawice z ozdobnym kościołem i białym dworem na wzgórzu. Ocieniało go kilka jodeł smętnych, dwa cisy i odwiecznych kilka dębów.

Szeroki strumień tęgie ścisnęły mrozy, po szklistej jego powierzchni chłopcy ze wsi ślizgali się na przegony; szerokie równiny śnieg biały grubo okrył, zawiesił się nawet na gałęziach czarniawych jodeł, i migał zmrożony blaskiem odbitego promienia słońca, które zamglone, wśród chmur sinawych, pędzonych wiatrem, rzucało światłem naokół. Z kominów chat wychodzące prosto w górę dymy zwiastowały i mróz tęgi, i wygodę mieszkańców, że przy ciepłych kominach nie lękają się zimna.

Przed godziną odgłos dzwonu kościelnego przerywał tu ciszę, gdy zwoływał wiernych do modlitwy; teraz jeno poświst wichru zakręcił z szumem zaspy śniegu, i przyniósł słabe echo wycia zgłodniałych wilków, co w dalekim lesie gromadnie przebiegały, szukając napróżno żeru.

W białym dworze na wzgórzu aż ze trzech kominów wnosiły się dymy sinawe, jak marmurowe słupy; z dziedzińca już zasłyszałeś gwar mocny, bo właśnie zbliżało się samo południe, i zastawiano do obiadu. Gospodarz, pan cześnik, w lisiurce, stał na ganku, i wołał niecierpliwy, by prędzej dawano na stół; nakrzyczawszy dosyć, wszedł ze zmarszczonem czołem do jadalnej komnaty, gdzie siedziała jego małżonka z dwiema córkami i księdzem Proboszczem, poważnym siwizną i pobożnością.

Pan cześnik głaskał czuprynę, spluwał, zacierał ręce, i nic nie mówił, co było zawsze oznaką głodnego żołądka. Aż przecież kredencarz wniósł wazę, wszyscy zasiedli do stołu, a po rosole, sztuce mięsa i po kilku kieliszkach wina, zaczęło się czoło cześnika rozchmurzać, i uśmiech, zwyczajny towarzysz szlachetnego oblicza, zjawił się na nowo.

— Ależ mróz był ognisty — odezwał się gospodarz — zdawało się, że para z ust marznie.

— Więc dawał uczuć moc swoję na głodny żołądek — odrzekła cześnikowa, spoglądając z uśmiechem na męża.

— Przecież wiesz aśćka, moja pani — bronił się dobry cześnik, całując ją w rękę — że to nasza natura gniewać się, gdy głodno, boć zaprawdę wonczas śpiewać nie mogę.

— Nie zdałby się pan cześnik na myśliwca dawnych czasów — rzekł Proboszcz — kiedy człowiek przez dwie całe doby nic nie jadł. Jaćci tego doświadczył w młodych leciech.

— A niechże mnie Bóg zachowa! — wykrzyknął, porywając zraz sarniej pieczeni — nie od tegom ci, mój Proboszczu, nie od tegom. Przecież, gdy nagła potrzeba, łamałem się w przygodzie i z głodem, i ztąd poznałem, jak człek stupidus *), gdy żołądek piszczy.

Proboszcz już się zabierał do długiej rozprawy o głodzie, zaczynając od przysłowia z Ł. Górnickiego: «Dworzanina», że głód najlepszy

---

*) głupi.

kuchmistrz, gdy zabrzękły przed gankiem głośne dzwonki, a po chwili roztwarły się drzwi komnaty na ścieżaj, i arlekin (błazen) zamaskowany z trzepaczką w ręku ukłon oddaje, i jednym skokiem staje na środku.

Tu biegając wokoło, wskakując na stołki, przewracając, co po drodze zawadzało, śpiewał ciągle: «Ej! kulig! kulig! kulig!» Tak obleciawszy całą komnatę, w drzwiach ukłon znowu powtórzył i zniknął.

— Grzegorzu! — zawołał pan cześnik — a wyjrzyj z ganku, w którą stronę pojechał ten Skomoroszek.

Gospodyni co rychlej wstała od stołu z córkami, Proboszcz już krótko bawiąc odszedł do plebanii, przyrzekłszy, że jak kulig zjedzie, stawić się nie omieszka, a cześnik radosny, wydawał rozporządzenia na przyjęcie wesołej drużyny, co z zamiecią śnieżną przebiegała od dworu do dworu.

Grzegorz tymczasem wrócił, donosząc, że czarny dyabełek, co tak skakał, w jodłowym lesie zniknął. I wywołany kredencarz odebrał rozkaz ze świeżego antału natoczyć kilka koszów węgrzyna, kucharz ogień już wielki naniecił, klucznica smarzyła faworki i pączki, a pan cześnik kazał uprzątnąć komnaty, i przy zmroku oświetlić wszystkie, zrzucił lisiurkę, i wystrojony w kontuszu oczekiwał zapowiedzianych gości. Pani cześnikowa, ubrana świeżo z córkami, weszła także do wielkiej sali, oświetlonej jarzącem światłem i blaskiem z marmurowego komina, gdzie nanie-

cony jałowiec z jagodami przy cieple i zapach roznosił.

Szósta na zegarze ściennym z kurantem wybiła, a nie słychać dzwonków kuligowych. Cześnik niespokojny wyjrzał oknem. Zamieć śnieżna coraz się powiększała, wiatr zimny poświstywał, a śnieżyca pokryła drogi, i tak zaćmiła wszystko, że nie mógł zobaczyć choć bliskiego gumna. Grzegorz wysłany na zwiady doniósł, że zamieć tak wielka, iż trudno do bramy nawet trafić, i kulig pewnie zabłądzi.

Niespokojny gospodarz rozkazuje latarnie zapalić, i ustawić to na bramie, to na słupach parkanu: aby zbłąkanym nadać łatwiejszy kierunek. Jakoż dzięki tej przezorności, zadzwoniły sanki, siedział w nich ów arlekin, ale nie był tak rzeźwy; przysypany śniegiem, bo nieraz przewrócony w dole od kartofli leżał, których wokół dworu cześnika nie brakło: przeziębły, zaledwie wylazł z sanek, i drżący wszedł do sali, dawszy smutną wiadomość, że cały kulig w opłotkach błądzi, przewraca się, a krzyk i wrzawa tak wielkie, że tylko wiatr przeciwny przeszkadza, że nie dochodzą do dworu.

Natychmiast wysłał cześnik czeladź swoją z latarniami, sam nawet przywdział napowrót lisiurkę i z ekonomem i Proboszczem, co nadbiegł na tę wiadomość, udali się na miejsce.

Pomoc ich była niezbędną; dwanaście sanek wystawiało obraz nieładu: konie u jednych rozhukane, porwały zaprzęgi i pędem na dziedziniec wpadły, drugie wraz z saniami ugrzęzłe po brzu-

chy, oczekiwały ratunku. Kobiety płakały, mężczyźni jedni krzyczeli, drudzy śmiali się, woźnice klęli. Pudła, pudełka, szkatułki, wyrzucone z przewróconych sani, leżały po obu stronach drogi. Po omacku zwoływali się, aby być razem i chociaż piechotą dojść do dworu. Jakaż ich była radość, gdy ujrzeli zbliżające się światło i pomoc, które winni byli swemu arlekinowi, co pierwszy dał znać do dworu, i gorliwości szlachetnego cześnika. Ustał płacz kobiet, mężczyźni radośnie wykrzykują: kulig! kulig! woźnice już nie klną.

Dwie godziny trzeba było wyciągać kulig ze śniegów i dołów, zbierać rozrzucone rzeczy; cześnik przy zamieci i mrozie, zmęczony, wrócił przecie uradowany, że wszyscy zdrowi, choć przeziębli.

Ogień na kominie rozgrzał ich wkrótce, a rozweselił węgrzyn. Wnet weszła kuligowa muzyka, zagrała poloneza, i długi rząd par wesołych posuwał się w poważnym tańcu.

W pierwszej parze szedł pan cześnik z panią starościną, już wiekową niewiastą. Wyrzucił za siebie na ramiona wyloty, lewą ręką trzymał za pas bogaty; prawą prowadził damę. Za nim jego małżonka z siwym starostą; dalej poważniejsi dostojeństwy i wiekiem; za tymi piętnaście par wesołej młodzieży. Wiódł rej cześnik po obszernej sali, w trzecim zakręcie uchylił głowy, klasnął w dłonie — rozdzielił się ze swoją damą i w długim wraz z towarzyszami stanął szeregu. Niewiasty i panny same, za przewodem starościny, przeszły poważnym w takt tańcem dwa razy wokoło,

i każda według upodobania wybrała z mężczyzn podaniem ręki.

Kiedy na nowo parami posuwało się grono gości w poważnym tańcu, arlekin, wysuszony i rozgrzany, wlazł na chórek nade drzwiami umyślnie od lat dawnych dla muzyki zbudowany, uderzył silnie trzepaczką i krzyknął: «Hej kulig! kulig! kuligowego mazura». A wnet grajki stają obok i zarzynają od ucha.

Na to hasło starcy, poważniejsi i starsze niewiasty ustępują z koła, zostawiają rzeźwą młodzież do skocznego tańca.

Gospodarz wyprowadził do bocznej komnaty sędziwych gości, a gdy jedni poczęli grać w tryszaka, drudzy w ślepego maryasza, reszta usiadła wieńcem wokoło poważnego starosty, bawiąc się gawędą. Cześnik należał do tego grona, w którem gęsto obchodziły kielichy starego węgrzyna, i śmiech serdeczny uweselał zmarszczki i siwizny. Cóż ich tak radowało? co troski z szlachetnych spędzało obliczy? Wspomnienie lat młodych, kroplami złocistego węgrzyna dobyte z serca i myśli.

Starosta miał sławę w całej okolicy dobrego opowiadacza; żyjąc w świecie długo, i z niejednego jadłszy chleb pieca, obfitował w dykteryjki zabawne, dzieje rodzin znakomitych, które tak gładko z ust mu płynęły, jak gładko wysuszał kielichy do kropli.

Nie brakło i cześnikowi, równie jak i innym starcom, grono to poważne składającym. Starosta właśnie zaczął wyliczać sławne łgarstwa i czyny znanego Panie Kochanku, a które w mgnieniu

przebiegały kraj cały, bawiły wszystkich, i stanowiły w swoim czasie rodzaj szczególny literatury niepiśmiennej, co równie znajdowała przyjęcie we wspaniałym zamku i wielkim dworze, jak pod strzechą słomianą ubogiego szlachcica na zagrodzie.

Bogaty wojewoda, książę Radziwiłł, potentat, tak zwany «Panie Kochanku», od przysłowia, którego używał, nieraz opisywał swoje łowy. Pan cześnik, mówił starosta, zna je wszystkie, ale może nie zasłyszał o tych, o których chcę waszmościom powiedzieć.

Cześnik skłonił głową, nalał pełny kielich i podał go z uszanowaniem, a starzec przybierając mowę samego Panie Kochanku, którą doskonale naśladował, począł:

— Przed czterema laty byłem na łowach, Panie Kochanku, strzelałem razy kilka, wyszły mi wszystkie naboje, aż tu razem, Panie Kochanku, wyskakuje duży jeleń, i staje bliziutko. Co tu robić? był jeszcze nabój prochu, sypię w lufę, a jadłszy właśnie wiśnie, miasto loftek pestkami nabiłem. Jak zmierzę, Panie Kochanku, jak palnę, aż jeleń podskoczył, zdawało mi się, żem go trafił w czoło, ale z pewnością nie wiedziałem.

Wyjechałem potem za granicę, zwiedziłem Niemcy, Francyę i Włochy, po trzech latach wróciłem do domu. Że lubię łowy, poszliśmy znowu na jelenia; stoję w tem samem miejscu i niedługo wyskakuje jeleń, patrzę, poznaję, że to ten sam, com doń strzelił pestkami, bo z samego środka czoła wyrosła wiśnia z pełnemi gałęziami owocu! Tak to, Panie Kochanku, pozna-

łem swego jelenia, który uszedł zdrowo, i buja w moich kniejach.

Przypominam sobie, mówił dalej, że miał na dworze swoim szlachcica ogromnego i barczystego, zwał się Leon Borowski. Miał on być zawsze towarzyszem Panie Kochanku, potwierdzał wszystko, co potentat wyrzekł i wchodził jako osoba działająca do historyj różnych. Od niegom się to dowiedział, jakiego sposobu używał Panie Kochanku na łowienie licznych niedźwiedzi. Półwozia (o dwóch kołach) z krótkim dyszlem, które kazano okować ostro, smarowano miodem i rozstawiono po kniei. Łakome niedźwiedzie słodyczy, liżąc coraz dalej, same się nadziewały, tak, że koniec dyszla drugą stroną wychodził, wtedy ukryci chłopi wyskakiwali z zasadzki, porywali za owe końce i przywozili do dworu niedźwiedzia.

Zapewniał mnie sam Panie Kochanku, że jednego roku, co był w miód ubogi, dwa tysiące sześćset niedźwiedzi przywiedli chłopi. Skóry z nich władował na okręt i sam z niemi ruszył, ale burza zagnała go na nieznane i odległe morze. Wiatry chwiały nawą, już go miały przewalić, wtedy ja, Panie Kochanku, skoczywszy w rozhukane bałwany, oburącz uchwyciłem okręt i przez całą dobę płynąc pod zagrożoną nawą, podpierając własnemi barki, przyprowadziłem do bezpiecznego portu.

— Za pozwoleniem wielmożnego starosty — odezwał się pan Jan ze Szczuczyna, — pomnę dobrze, jak wielu niedźwiedzi trzymał na swoim dworze. Kiedy jakiego cudzoziemca spodziewał

się u siebie, zaraz w oznaczonym czasie, gdy widziano, że się zbliża, służba i czeladź znikła. — W bramie stało dwóch niedźwiedzi ogromnych, białoszyjków, z wielkiemi pałkami, na ganku, w sieniach toż samo.

Zdarzyło się w on czas, że zaprosił do siebie sławnego Włocha, doktora; boć to od dawna jak w przypowieści: co Włoch, to doktor. Włoszysko, co nigdy nie widziało naszych niedźwiedzi, nie mógł wjechać w bramę, bo konie wystraszone zwracały. Przydany dworzanin radził mu wysiąść z kolasy i pójść pieszo. Usłuchał ale na swoję ciężkość. Wchodzi w bramę, aż tu zamrukną niedźwiedziska, podniosą się na dwóch łapach z pałkami, pan Włoch mało nie umarł; idą dalej, nikogo z ludzi nie widno; doktór się żegna i modli; wchodzi na wyniosły ganek, stoją niedźwiedzie; do sieni, tu rzędem dwunastu stoi; to było dla Włocha za wiele, zbladł jak Piotrowina z grobu, a dworzanin prawie wniósł go do komnaty. — «Panie Kochanku, — rzekł pan wojewoda do Włocha — ja inszej służby nie mam, u mnie wszystko zastępują niedźwiedzie, służą za czeladź i jeżdżę nimi».

— Tak, zaprawdę — rzekł pan cześnik — mój, świętej pamięci, ojciec sam był obecny, jak w Warszawie do jednego znacznego pana Panie Kochanku zajechał. Zjazd był wielki; nagle powstaje rozruch, krzyk i wrzawa; rozhukane konie przewracają pojazdy, zrywają zaprzęg; pan domu posyła marszałka, ażeby wykazał powód rozruchu. Marszałek wraca i donosi, że Panie Kochanku

zajechał czterema ogromnemi niedźwiedziami i wszystkie rozhukał konie.

— O! lubił ci, lubił te zwierzęta — zaczął znowu pan Jan ze Szczuczyna — onemu Włochowi jeszcze nie tu koniec. Zaledwie ochłonął nieco i otrzeźwił dobrem winem (jakiego nam widzę i pan cześnik dobrodziej nie żałuje), dano do stołu. Pan wojewoda zasadził doktora przy sobie; po pierwszem daniu radzi Panie Kochanku odmienić talerz: Włoch obraca się z nim i widzi wielkiego niedźwiedzia, stojącego na dwóch łapach za krzesłem, z talerzem czystym pod pachą. To go dobiło: — zbladł i zemdlał; — długo mu nos kręcono, nie przyszedł do siebie; od onej doby już więcej tam nie zajrzał.

— Kiedy nasz miły sąsiad — zawołał gospodarz — chwali tak nasze wino i porównywa do dawnego, a to ze sławnej piwnicy, trzeba go lepiej zakosztować i nie tak małą miarką.

To wyrzekłszy, otwiera w pobliżu leżące pudło i wyjmuje zeń puhar dwukwartowy srebrny, bez nogi z tym literami gotyckiemi napisem:

«Ludzie wzięli mi jednę, ja im lepiej zrobię,
Bo za jednę nogę, odejmę im obie».

— Bene! (dobrze) — wykrzyknął podochocony starosta i klasnął w dłonie radośnie: «Mors a tergo, bibamus ergo!» *)

I całe grono starców poczęło wołać radośnie: — vivat! vivat!

---

*) Śmierć za plecami, a więc pijmy.

Pan Jan ze Szczuczyna, przyjmując z rąk starosty, co go już spełnił, puchar, jak nazywano kulawkę, którego postawić nigdzie nie można i musiał obchodzić wokoło z ręki do ręki, wstał i zanucił:

Gospodarzu! gospodarzu! kto u ciebie bywa,
Zawsze wesół, zawsze wesół, nigdy nie poziewa.
Hej! ha! do licha!
Dajcie nam kielicha!
A za jego zdrowie,
Niech nam szumi w głowie.

I przytknął do ust kulawkę, przechylił i oddał próżny towarzyszowi Zarębie. Zaręba, gracz stary, wedle wyrażenia cześnika, niedługo się bawił i dobrze się sprawił, ani kropli nie zostawiwszy, oddał w ręce gospodarza; gdy głośna wrzawa w sali, gdzie młodzież tańczyła, zwróciła wszystkich uwagę. Sześć par krakowskich ukazało się w sali z własnym skrzypkiem, niespodziewane ich zjawienie obudziło radosną wrzawę.

Grajek krakowski przygrał serdeczną nutę do śpiewków.

Zaledwie wokoło dwa razy wesołe grono obiegło, zmięszał się porządek. Wszyscy chcieli do krakowiaka należeć; rozochocone dziewczątka poskoczyły do grona starców; w pierwszą parę musiał pójść starosta, dalej cześnik, pan Jan ze Szczuczyna, sędzia i tłusty podsędek. Sędziwy starosta kazał grajkowi ciąć od ucha i nadrabiając miną, wyręczając nogi, klaskał w dłonie. — Oklaskami przygłuszono grajka, gdy z chóru za-

grzmiała muzyka całego marsza i wszyscy udali się parami na wieczerzę do zastawionych w klamrę stołów.

Już było daleko po północy, kiedy się uczta skończyła, młodzież zmęczona nie tak rzeźko tańczyła; tylko kulawka między starcami przechodziła z rąk do rąk, lubo nie długo. Kiedy i kapela poczęła drzemać, na dany znak przez cześnika zagrała dawną piosnkę hejnałową, na powitanie zorzy; a arlekin z kilką młodzieży i panem Janem ze Szczuczyna, który ich tej starej pieśni nauczył, zanucili razem:

«Hejnał świta jużci z morza;
Rumiana powstaje zorza;
Jutrzenka w swojej jasności
Rozgania nocne ciemności.
Wstaje w lesie ptak zakryty,
Wstaje w puszczy zwierz niebity,
Wstań oraczu! hejnał świta,
Ciebie z początku zawita».

Pieśń ta była hasłem rozejścia się na spoczynek; arlekin uderzył silnie trzepaczką i zawołał: «dobra noc! dobra noc!» a pan Jan ze Szczuczyna kulawkę raz jeden na chórku wychylił, życząc wszystkim snu smacznego i błogiego.